

HALINA SZAL

ur. 1949; Nowy Targ



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, współczesność
Słowa kluczowe	Lublin, współczesność, praca redaktora, wydawnictwo Paweł Skokowski, książki dla dzieci, praca korektora

Praca w wydawnictwie Paweł Skokowski w Lublinie

Moja przyjaciółka, Ewa Kurek, znała żonę pana Pawła i wiedziała, że ja szukam pracy, bo wszystkim znajomym mówiłam. Więc tu też przez znajomą, z tym że pan Paweł mnie, jakby wypróbowywał. Dawał mi teksty, wiedział, że ja trochę tam tekstów dla dzieci robiłam, w Wydawnictwie Lubelskim miałam do czynienia z tekstami dla dzieci, ale to była klasyka, więc tam pracy nie miałam dużo. Jednak zanim mnie zatrudnił, w okresie próbnym dawał mi teksty przetłumaczone do redakcji. Ja z nim to potem omawiałam, bo już wydawnictwo działało jak ja przyszłam, z tym, że tak naprawdę to ja byłam pierwszym takim etatowym pracownikiem, bo to były dopiero początki. [Wydawnictwo mieściło się] przy placu Zamkowym, vis-a-vis Zamku.

Musiałam właściwie wszystko, całe swoje życie zawodowe wyrzucić do góry nogami. Ponieważ tam robiło się inaczej, inne rzeczy. Przede wszystkim komputer, teksty inne i spotkania z konsultantami. To z reguły byli, albo nauczyciele dobrzy w swojej dziedzinie, albo naukowcy, geografowie, zoologowie z UMCS-u. Ktoś to mógł na dany temat nam coś podpowiedzieć czy ocenić te teksty, bo szef jakby od razu nieufnie podchodził do tych tekstów francuskich i i miał rację. Francuzi tak sobie to trochę odpuszczali. Nie przejmowali się, że to jest do dzieci i jechali tak jakby z encyklopedii przepisali tekst o czymś. Na przykład o wulkanach, albo o dinozaurach, a szefowi to nie odpowiadało. Zmiany [w pracy w wydawnictwie] wynikały, raczej z charakteru mojego szefa – nawiasem mówiąc filozofa z wykształcenia – który przykładał bardzo dużą wagę do słowa i do tego, że to trafia do małych dzieci. Tak się złożyło, że jemu się też dziecko urodziło i później testował pewne rzeczy na własnym dziecku. Po prostu był zakręcony na tym punkcie, że to musi być tak proste, jasne i tak plastyczne, żeby dziecko wiedziało i rozumiało. I to było odkrycie dla mnie, że tak można podchodzić do tekstów dla dzieci. Niestety, to co się widzi w księgarniach, to daleko odbiega od tego ideału i źle się stało, że na razie wydawnictwo nic nie wydaje. Wiele dobrych rzeczy wyszło i te książki się sprzedawały, bo były pięknie graficznie przygotowane. To były całe serie, dobrze

przygotowane także tekstowo. Dziecka się nie da oszukać. Ono lubi mieć prostą rzecz.

Pracowaliśmy na wydruku, ale oczywiście później poprawki nanosiło się do komputera, drukowało i znowu czytało. Gdzie jak gdzie, ale w [tym] wydawnictwie, to naprawdę nieraz było tyle korekt. Komputer był nam potrzebny, żebyśmy tam wprowadzali poprawki, czy wysyłali szefowi. Z reguły szef chciał to mieć, bo lubił sam przeczytać, był wzrokowcem. Czy po prostu dać dzieciom do czytania. Oczywiście myśmy pisaliśmy reklamówki, ale to były zupełnie inne reklamówki, niż się spotkało. Szef nie znosił sztampy, takiego czegoś, że o, to jest – fajne obrazki, miłe, dobre teksty i już reklamówka jest. Nie, tam trzeba było napisać coś pod dziecko, coś z czymś skojarzyć. Więc to była cały czas, taka twórcza praca. Czasem myśmy robili książeczki malusieńkie dla dziecka, gdzie tam było jedno zdanie na stronie. To było skierowane do dziecka, które zaczyna mówić, do takiego najmłodszego. Wydaliśmy [też] na przykład serię ksiąg: „Księga koni”, „Księga Ziemi”, „Księga lasu”, „Księga Bożego Narodzenia”, nawiasem mówiąc, tam jest mój wiersz o Świętym Mikołaju, bo francuskiego wierszyka nie da się przetłumaczyć, tak, jak tekstu prozą, więc trzeba było coś napisać nowego. Potem były „Globy” dla starszych dzieci. To też był tematyczny – „Glob-kosmos”, „Glob- przyroda”, „Glob-zwierzęta”, „Glob-dinozaury” i kolejne były w planach, ale to wszystko się nie udało po prostu.

[To było] małe [wydawnictwo]. Najwięcej redaktorów, [było] kiedy mieliśmy dużą produkcję, a to, to było jakieś wariactwo, żeśmy pracowali właściwie od rana do wieczora, nieraz i w soboty. [Byli] konsultanci do każdej tego typu książki jak „Kosmos” czy „Dinozaury”, to był konsultant. Przeczytał, później uwagi swoje nanosił, potem myśmy to z nim omawiali, nanosili te jego uwagi, tak że to była masa takiej dodatkowej pracy, zanim to poszło na filmy, bo to było później jeszcze na filmach, już przed wysyłką do Francji. Ponieważ drukowane były we Francji i w Belgii te książki, z z trzema wydawnictwami współpracował szef. Belgijskie „Caramel” czyli cukierek, „Beaumont” i „Fleurus”, paryskie. Trzeba było to sfilmować, na foliach, bo zmieniły się sposoby druku. Już nie było zwykłego składu, tak jak dawniej, tylko filmy. Nasz informatyk już przygotował do druku było zaklepane, on odpowiednio złamać musiał, czyli ułożyć tekst, wszystko opisać dokładnie. Nic nie wiem na ten temat, oprócz tego, że tylko na papierze mogłam zasugerować różne [poprawki], albo czasem mieliśmy sygnał, że trzeba skrócić tekst, bo mu się nie mieści, albo dopisać coś, bo jest za luźne i brzydko będzie wyglądać. Później wysyłaliśmy to w formie filmów, czyli na folii takiej do Francji. Tylko opisy do tych filmów były po francusku, mieliśmy tłumaczkę. Toteż oprócz redaktorów jeszcze była zatrudniona tłumaczka, która w takim przypadku, bardzo była potrzebna, szef zresztą też tam po francusku to tylko tak ogólnie, ale w takich sprawach, to musiał mieć tłumacza. Wszystko się odbywało telefonicznie. Zanim [posłaliśmy do] drukarni, to trzeba było jeszcze uzgodnić i wynegocjować przeciw różne rzeczy: nakład, cenę i tak dalej. To często się odbywało tam, gdzie redakcja pracowała, ale to było ciekawe, bo to były

wielogodzinne rozmowy, negocjacje. Załatwiany był transport też. Tak że to wszystko jakby działo się na naszych oczach też, bo myśmy w części przynajmniej uczestniczyli [w tym], ponieważ, ta tłumaczka siedziała przy biurku szefa i rozmawiali z Francuzami. Różne były też problemy, bo to już niby mają pakować, a nie pakują [czy] jakieś tam. Myśmy czytali [coś nowego], a szef już podzuca: „Pani Halino, tutaj trzeba coś jeszcze, bo to zaraz pójdzie do druku.”. Jezu, to w ogóle, ale to tak wyglądało. Ja nie znam francuskiego. Tak biernie trochę znam, na tyle, żeby coś zrozumieć dla dzieci, proste rzeczy, a tak, to miałam tłumaczenie. Później już szef zarządził, że nie chce tekstów francuskich, teksty to tylko są tak, żebyśmy mieli jako podkładkę, a w ogóle to trzeba pisać samemu. To już się tłumacz nie wysiłał, dawał nam „rybkę” tak zwaną, czyli taki surowy tekst, a myśmy dopiero pisali. Też grzebaliśmy w słownikach, w różnych tam kompendiach, musieliśmy współpracować z konsultantami.

Data i miejsce nagrania	2012-12-13, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Weronika Prokopczuk
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"